

Kronika tygodniowa.

Kronikarz ma wprawdzie tylko dwie nogi, ale i on czasem się potkuje.

Przekonałem się o tem, nie po raz pierwszy, ale też zapewne i nie po ostatni, na zeszytygodniowej kronice, zwłaszcza zaś na mych przepowiedniach meteorologicznych, które mi się z reguły nie udają.

Zachwyciłem się rozpoczynając się zimą i przewidywałem z góry, jaką radość sprawił pierwszy tegoroczny porządniejszy śnieg różnego rodzaju sportowcom, tymczasem, zanim kronikę ukończyłem, aura się zmieniła, a miejsce śniegu i ewentualnego mrozu zajął deszcz i jego następstwa.

Zmartwiło mnie to ogromnie, pomieściłem nawet z tej racji odpowiednią notatkę na samym końcu mych wywodów, niestety, skosifskował ją, lecz nie pan prokurator, bo z tym żyję z dawien dawna na dobrej stopie, ale inny groźny mąż, postrach wszelkiego dziennikarstwa.

Każdy się zapewne domyśla, że mówię, a raczej piszę, o wszechwładnym panu metrapaży, który ze sztyletem w dłoni stanął przedemną i zawołał grobowym głosem:

— Piętnaście wierszy za dużo! Proszę skreślić!...

Błagałem o litość, obiecywałem na drugi raz poprawę, był niewzruszony, odwrócił się odemnie, nie rzekłszy ani słowa więcej i odszedł do zecerni.

Trudna rada — pomyślałem sobie i zabrałem się do obcinania swego własnego dzieła. Ofiarą padła właśnie owa notatka o mym pechu meteorologicznym, którą przeznaczyłem na początek niniejszej kroniki.

Od poniedziałku do niedzieli wieczór mieliśmy pogodę bardzo jednostajną, codziennie padał deszcz bodaj dwa razy, w błocie można się było utopić nawet na pryncypalnych ulicach, nie mówiąc już o przedmieściach.

Ponieważ w niedzielę popołudniu nie pozwoliła mi moja władza domowa na pójście na syndykacką czarną kawę do Pollera, twierdząc, że może mi zaszkodzić niepogoda, kawę mam w domu, a zagrać, zadeklamować lub zaśpiewać może ona sama i córki, zdecydowałem się nie opuszczać ogniska rodzinnego (które, nawiasem mówiąc, nie bardzo grzeje, bo węgle znów podrożały!). Zabrałem się, nie mając nic lepszego do roboty, do napisania naukowego traktatu o krakowskim błocie i jego znaczeniu kulturalnym... Rozprawa, wystarczająca na kilka arkuszy druku, pojawi się niezadługo w rocznikach komisji fizyograficznej krakowskiej Akademii Umiejętności, o ile nie przeszkodzi temu spodziewany strejk drukarski.

Tymczasem znów pech!

Budzę się w poniedziałek, jakaś pyzata twarz zagląda do okna... W pierwszej chwili sądziłem, że to przyjechała moja pocziwa tściowa (345 funtów żywej wagi, nie licząc kapelusza!), potem przyszło mi na myśl, iż to może któryś z mych wierzyteli, chcący mi zrobić niespodziankę... przekonałem się jednak, że jestem w błędzie. To pocziwy księżyc w pełni, wzywa mnie do pracy!

Zerwałem się z łóża, patrzę na zegarek: szósta rano. Spoglądam na ulicę, pokryta śnieżnym całunem...

Doskonale się składa, na początku kroniki można więc powtórzyć rzecz o przyjemnościach zimy, które znamy tylko z opowiadania.

Ot, zdarzyło mi się niedawno spotkać ośmioletniego chłopczyka, którego jedynym pragnieniem było, by mógł się porządnie wysunkować, ale na takich prawdziwych sankach, ciągniętych przez żywego konika.

— To jeszcze nigdy nie jeździłeś sankami? — zapytałem.

— Nigdy! — odpowiedział.

— Ale sanki już widziałeś?

— Tak jest! Na obrazku!...

Niestety, takie już teraz nastały czasy, iż w zimie brak śniegu, w lecie zato zimno, że chyba dzwoni zębami. Zwłaszcza, jeśli byłeś na tyle naiwnym i wybrałeś się gdzieś na wakacje na świeże powietrze, a nie wzięłeś ze sobą futra!

Nie będę jednak pisać nic o zimie, boję się bowiem, aby przypadkiem nie powtórzyło się to samo, co w poprzednim tygodniu, a sądzę, każdy z nas byłby zadowolony, gdybyśmy tak raz przecież mogli pojechać saniami na pasterkę!...

Tak samo nie udało mi się z owymi pokojowymi kartaczami, wynalezionymi przez panią Idę Böhm, które miały położyć kres wojnom. Wydelekowałem z tego, że teraz chyba nastanie już pokój europejski, tymczasem znów czytam, że najdalej za miesiąc wybuchnie gwałtowna walka między Niemcami a Francją.

Przepowiedział to nowy prorok — nowa gwiazda na horyzoncie francuskim wschodząca — niejaki pan Dumanet, czy może Tumanet, żołnierz z oddziału lotniczego w Wersalu, jako szybujący po powietrzu, mogący też mieć pierwszorzędne informacje z najwyższych sfer.

Jest on konkurentem pani de Thébes, ale nie do jej ręki, lecz co do przepowiadania przyszłości, posiada bowiem w wysokim stopniu rozwinięty dar jasnowidzenia.

— Proroctwo Dumaneta traktują Francuzi na seryo, komendant oddziału zawiadomił o nim nawet w drodze urzędowej ministerstwo wojny i prosił o dalsze dyspozycje.

Ale co będzie, jeśli przepowiednia się nie spełni?... Biednego rekruta gotowi oddać pod sąd wojenny pod zarzutem wprowadzenia w błąd władzy przełożonej!...

— A jeśli się spełni?

Jeśli się spełni, będziemy mieli sposobność przekonania się o skuteczności nasennych kartaczów pokojowych p. Idy Böhm z Drezna.

Słyszałem, ale nie wiem, ile na tem prawdy, że podobno prezydum austriackiego parlamentu ma się w nie także zaopatrzyć i używać ich w razie obstrukcyjnych popisów ukraińskiej fi-harmonii.

Zacznie grać jakiś tam Hryć, czy Oleksa, prezydent Sylwester łap za kartacz, trzask w niego, a muzykant już spi!

A straszna to musiała być owa muzyka! Gdym ujrzał obrazek w „Kuryerku“, mający ją przedstawiać, włosy stanęły mi dęba na tyśnię!... Czy wiecie państwo, dlaczego?... Otóż dlatego, że w samym środku grających widzę dmuchającego w trąbę s. p. dyrektora Ceglińskiego z Przemysła, który zmarł prawie rok temu!...

Że nieboszczycy biorą udział osobiście (lub przez zastępców) w wyborach, o tem pisałem samniejednokrotnie, aby jednak urządzali muzykalną obstrukcję, dotąd nie wiedziałem.

Teraz, wobec tego, wierzę już w duchy!

Niema więc złego, któreby na dobre nie wyszło. Mamy kartacze pokojowe, nie boimy się też ani wojny, ani obstrukcji, ani żadnej rzeczy, „która jego jest“.

Podobno ekscellencya Długosz, aczkolwiek dzięki politycznym przyjaciółom worek jego stał się lżejszy o sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy koron (z halierzami), postanowił zaryzykować jeszcze parę tysięcy i zafundować frondującym ludowcom transport tych kartaczy na wypadek wojny z Janem z Pacyfiku, który na wiecu w Rzeszowie oświadczył, iż majątek jego wynosi obecnie okrągło dziewięćdziesiąt koron w gotowiznie i papierach wartościowych.

Oj, pękła tam także bomba, ale proszę tego nie brać dosłownie, polityk Bomba, jeden z wiernych sojuszników pana Stapińskiego, żyje i jest zdrów zupełnie. Na własne oczy czytałem, iż był na wiecu i zabierał głos w obronie swego protektora.

A straszna walka toczyła się w spokojnym zwyczaj Rzeszowie! Ciężką artylerią dowodził sam minister Długosz, sekundowali mu inni ludowcy, między którymi widzimy nawet hrabiów, hofratów i innych dostojników.

Dowód to, że polskie społeczeństwo, przynajmniej na gruncie politycznym stale się demokratyzuje.

Wracając jednak do rzeczy, zaznaczyć wypada, iż pan Stapiński na zjazd Rady naczelnej Stronnictwa ludowego zwołał do Rzeszowa samych swych zdeklarowanych adherentów, wierzących mu bezgranicznie, ale i bezkrytycznie, a gotowych pójść za nim w ogień lub wodę.

Z takich ludzi — powiada pan Jan — powinna się składać partya polityczna, a nie będzie z nią kłopotu, surdutowe inteligenty nie zawsze dadzą się za nos prowadzić!

I stało się, jak przewidywano, z rzeszowskiej kąpieli wyszedł pan Jan czysty, potępiono zaś ministra Długosza, który wnosił oskarzenie i popierał je rzeczowymi dowodami. Być może, że ekscellencya poszedł za daleko i powiedział może zbyt wiele, co szczególnie Wiedniowi nie było na rękę, w każdym razie był pierwszym, który się odważył porwać na taką wielkość!...

Janowi wyrażono pełne zaufanie, ekscellencyę Długosza, jako syna marnotrawnego, wykluczono z partyi!...

Na tem tle mają teraz powstać różne kombinacje, w szczególności dymisja Długosza, a kto wie, czy i nie całego gabinetu hr. Stürgkha, Stapiński grozi bowiem rewelacyami, od których świat zadrży w posadach, a nawet, jak się zdaje, stoi z nim w związku, zawalenie się tunelu w Chemnitz, o czem doniosły wtorkowe dzienniki.

Ktoby objął ster gabinetu, dotąd nie wiadomo,

jedni wskazują na Becka, inni na Bilińskiego, w każdej zaś kombinacji znajduje się dr. Leo (z teką lub bez teki), który wobec tego opróżniłby fotel prezydalny w Kole Polskim, a także i w Krakowie.

Jeśli więc Stapiński padł nawet rzeczywiście, może sobie powiedzieć, że zginął, jak Samson, bo tyle narobił bigosu śmiercią swą polityczną.

Socjaliści, którzy, jak to zresztą już wspominałem, dotąd znęcali się nad Janem Ludowcem, teraz widzą w nim męczennika. Łatwo zrozumieć tę zmianę frontu, spodziewają się, że pan Jan, wraz z gromadką niedobitków schroni się pod ich skrzydła i pomoże im do rozszerzenia wpływów i na wieś polską.

Spodziewano się, że rozłam w partyi ludowej przyczyni się do pogorszenia szans reformy wyborczej do sejmiku galicyjskiego, tymczasem z telegramów wtorkowych należałoby wnosić, że stronnictwa polskie zaczynają dochodzić do porozumienia i zgadzają się ze sobą w niektórych punktach, gdzie dotąd nie można było w żaden sposób osiągnąć porozumienia.

We Lwowie odbywają się ciągle konferencje. Wiedeń śledzi z ciekawością ich przebieg, hr. Stürgkh na wszelki wypadek dał paragraf czternasty do od-czy-szczenia.

Jeśli nie reformę wyborczą i podatek wódczany, to przynajmniej taki maleńki prezencik przygotowuje nam Rząd centralny na gwiazdkę.

Bo nie zapominajmy, że święta już za pasem.

Świadczą o tem choinki, ustawione na Rynku krakowskim (Jest ich o połowę mniej, niż po inne lata! I tu widać ciężkie czasy!...) i szereg loteryi fantowych na cele dobroczynne.

Kto ma pieniądze i pragnąłby podać rękę szczęściu, może za czterdzieści halerzy wygrać inwalidę-zającą lub styryjską pularde, która w kwiecie wieku, po długich a dolegliwych cierpieniach skończyła ten marny żywot naturalną śmiercią na uwiad starczy... Amatorowie trunków, o ile fortuna im dopisze, mogą się zaopatrzyć tutaj w znakomitego węgrzyna krajowego wyrobu, który da radę nawet najzłśliwsiemu bakcyłom!...

Inna rzecz, jeśli należysz do komitetu, lub masz w nim bodaj kogoś znajomego! Wówczas szansa wygrania podnosi się o sto procent.

Ala dajmy temu spokój, przecież to loteryja na cel dobroczynny, owszem chwalmy czule serce naszych dam, które dla dobra cierpiących nie wahają się narazić na zaziębienie w chłodnej hali Sukiennic lub w budynku teatralnym w Parku Krakowskim.

Mona Liza się znalazła!... Oto okrzyk radości, jaki rozlega się w całej Francji, a powtarza echem i na szpaltach naszych pism. Skradł ją jakiś włoski patryota, który chciał się w ten sposób pomścić na Francji za artystyczne kradzieże Napoleona! Za to chyba nie zamkną go do kryminalu, działał bowiem z pobudek szlachetnych, choć znów postąpił sobie nie tak bardzo szlachetnie, ofiarując ją Włochom i ządając w zamian tylko drobnostki... milion dwakroć sto tysięcy lirów za fatygę i strach.

Zdaje się jednak, że będzie się musiał obejść smakiem.

To przecież powinno nas cieszyć, że prawda zawsze, jak oliwa, musi wyjść na wierzch, spodziewajmy się więc, iż i inne sprawy, które okrywa dotąd tajemnica, rozjaśnią się nareszcie. A mamy ich i w Krakowie kilka, że wspomnę bodaj tylko morderstwo ze Szlaku!...

Lwów
Jagiellońska 15.
Nowo wykwinione urządzone
CUKIERNIA
BIENIECKIEGO
LOKAL WSPANIAŁY
POLECA: znakomitą kawę, herbatę,
czekoladę, torty, cukry, ciasta, owoce
Lody, chłodniki, kawy, herbatę,
Przyjmujemy zamówienia miejscowe
i na prowincję.
Jagiellońska 15
Lwów

RIZ ABADIE
Tutki :: św. Jerzego
— poleca —
Société Abadie w Paryżu.